

# credence

AUTORKA *PUNK 57*, *BIRTHDAY GIRL* I *DRĘCZYCIELA*

PENELOPE  
DOUGLAS



Tytuł oryginału

*Credence*

Copyright © 2020 by Penelope Douglas

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2022

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Julia Deja

Korekta:

Magdalena Jarząbek

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8320-017-0

**PENELOPE DOUGLAS**

# **CREENCE**

**TŁUMACZENIE  
DAWID ŚWIONDER**

**OŚWIĘCIM 2022**

*„Nie światła potrzebujemy, lecz ognia; nie delikatnej  
mżawki, lecz gromu. Potrzebujemy burzy, zawiei  
i trzęsienia ziemi”.*

– Frederick Douglass

# Rozdział 1

## Tiernan

Dziwne. Huśtawka z opony w ogródku jako jedyna sugeruje, że mieszka tu dziecko. W domu nigdy nie było żadnych rysunków – ani na lodówce, ani na ścianach. Żadnych książeczek dla dzieci na regałach. Żadnych bucików przy wejściu czy dmuchanych zabawek w basenie.

To dom pary, nie rodziny.

Przez okno obserwuję, jak zawieszona na dębie huśtawka chwieje się na wietrze w tę i we w tę. Zamyślona bawię się wplecioną we włosy czerwoną wstążeczką z przyjemnie gładkiego materiału.

Zawsze miał czas, żeby pobujać ją na huśtawce. Miał czas dla niej. A ona dla niego.

Gdzieś z tyłu rozlega się piszczenie i szum krótkofalówek. Słyszę też kroki na schodach, a po nich odgłos zamykanych drzwi na piętrze. To policja i ratownicy. Niedługo na pewno będą chcieli ze mną porozmawiać.

Przetykam ślinę, ale nie mrugam.

Kiedy zakładał tę huśtawkę dziesięć lat temu, myślałam, że to dla mnie. I chociaż pozwalali mi się na niej bujać, tak naprawdę była ulubioną zabawką mojej matki. Nieraz obserwowałam przez okno, jak późnymi wieczorami bawili się na niej roześmiani. Magia ich zabawy sprawiała, że chciałam być tam z nimi. Wiedziałam jednak, że gdy tylko mnie zobaczą, wszystko się zmieni. Czar pryśnie.

Stałam więc jedynie przy oknie i patrzyłam.

Nadal tak robię.

Przygryzając wargę, obserwuję, jak zielony liść wpada do wnętrza opony, na której matka siedziała niezliczoną ilość razy. Wczoraj był ostatni, dlatego wciąż mam w pamięci tak wyraźny obraz jej białej koszuli nocnej i jasnych włosów powiewających z każdym ruchem.

Ktoś za mną odchrząkuje. Mrugam wreszcie i spuszczam wzrok.

– Nie uprzedzili cię w żaden sposób? – pyta Mirai drżącym głosem.

Nie odwracam się, lecz po chwili kręcę głową.

– Kiedy ostatnio z nimi rozmawiałaś?

Nie mogę odpowiedzieć, nie jestem pewna.

Czuje, jak do mnie podchodzi, ale nagle zatrzymuje się na dźwięk pierwszych noszy niesionych schodami ku wyjściu.

Unoszę brodę w oczekiwaniu na falę zgiełku, która zaleje wnętrze, gdy tylko ratownicy otworzą drzwi. Krzyki, pytania, klaksony coraz to kolejnych samochodów parkujących za bramą. Stamtąd media bez problemu zobaczą wynoszone ciało.

*Kiedy ostatni raz rozmawiałam z rodzicami?*

– Policja znalazła jakieś leki w łazience twoich rodziców – ciągnie Mirai łagodnie. – Wystawiono je na twojego ojca, więc zadzwonili do lekarza. Okazało się, że miał raka, Tiernan.

Nie ruszam się.

– Nic mi nie powiedzieli – dodaje. – Wiedziałaś, że twój ojciec był chory?

Znów kręcę głową, wpatrzona w kiwającą się huśtawkę.

Słyszę, jak Mirai przełyka ślinę.

– Wygląda na to, że próbował różnych terapii, jednak nowotwór był zbyt złośliwy – wyjaśnia. – Lekarz powiedział, że... nie przeżyłby roku, kochanie.

Nagły powiew wiatru obraca huśtawkę. Patrząc, jak opona wiruje na skrzyśonej linii.

– Wygląda na to... wygląda na to, że oni... – Mirai urywa w pół zdania, nie będąc w stanie dokończyć myśli.

*Wiem, na co to wygląda.* Wiedziałam już rano, gdy ich znalazłam. Toulouse, terier szkocki mojej matki, drapał błagalnie w drzwi ich sypialni, żeby go wpuścić, zatem je uchyliłam. Wydało mi się dziwne, że jeszcze nie wstali. Mimo to wpuściłam psa. Miałam już zamknąć drzwi z powrotem, lecz wtedy uniosłam wzrok – i zobaczyłam ich.

Na łóżku. Wtulonych w siebie. W pełni ubranych.

On miał na sobie swój ulubiony garnitur od Givenchy, ona – suknię Oscara de la Renta, którą założyła na Festiwal Filmowy w Cannes w dwa tysiące trzynastym roku.

Miał raka. Umierał.

Wiedzieli, a moja matka nie pozwoliła mu odejść bez niej. Uznała, że bez niego nie ma nic.

Zupełnie nic.

Przez moment czuję ukłucie w oczach.

– Policja nie znalazła żadnego listu – mówi Mirai. – Znalazłaś...

Milknę, kiedy odwracam się w jej stronę i spoglądam jej w oczy. Co za głupie pytanie.

Zaciskam szczęki i przetykam ślinę, aby pozbyć się pieczenia w gardle. Po tych wszystkich latach spędzonych pod opieką niani, w internatach i na obozach letnich, gdzie zajmowali się mną wszyscy oprócz moich rodziców, wydawało mi się, że ojciec z matką nie są już w stanie sprawić mi cymkolwiek bólu. A jednak wygląda na to, że wciąż istnieje jakaś część mnie, którą można zranić.

Nie zostawili mi żadnego listu pożegnalnego. Nawet w takim momencie nie mieli mi nic do powiedzenia. Mrugam, aby otrzeć łzy i odwracam się, żeby znów utkwic wzrok w huśtawce kołysanej wiatrem.

Słyszę, jak Mirai szlocha cicho za mną, ponieważ wie. Wie, co czuję, bo była tu od samego początku.

Chwilę później dostrzegam ją za oknem. Nie zorientowałam się, kiedy wyszła. Podchodzi do huštawki z nożycami w ręku. Unosi je, a ja zaciskami pięści i patrzę, jak stopniowo przecina linę, aż ostatnie jej włókno pęka i opona spada na ziemię.

Pojedyncza łza spływa mi po policzku i po raz pierwszy, odkąd przyjechałam do domu na lato, czuję coś na kształt miłości.

\*\*\*

Kilka godzin później zachodzi słońce. Dom znów spowija cisza, a ja jestem sama. Prawie sama. Za bramą wciąż sterczą dziennikarze.

Mirai chciała zabrać mnie do swojej małej kawalerki. Z pewnością stać ją na lepsze lokum, ale skoro spędzała u nas tyle czasu, a ponadto towarzyszyła mojej matce w każdej podróży, wynajęcie czegoś większego nie miało sensu. Grzecznie odmówiłam.

Zabrała jednak Toulouse. Ten pies reaguje na mnie równie złośliwie jak na kota. Powiedziała też, że wróci z samego rana.

Powinam być dla niej miłsza, gdy zaproponowała, że zostanie. Ale chciałam po prostu mieć święty spokój. Cała ta wrzawa i zainteresowanie mediów wywołują we mnie niepokój. Wolę też nie słuchać tych wszystkich telefonów, które Mirai będzie musiała jeszcze dziś wykonać. Przypominałyby mi tylko o piekle, jakie rozpętało się przed domem i w mediach społecznościowych.

Gadają o moich rodzicach. O mnie pewnie też.

Współczucie. Przewidywania, kiedy pójdę w ślady mamy i taty: czy przypadkowo przedawkuję albo po prostu się zabiję. Wszyscy mają swoje zdanie i mają się za najmądrzejszych. A ja myślałam, że wiem, co to znaczy brak prywatności...

Rodzice zostawili mnie samą z całym tym gównem. Wzdychając, podchodzę do kuchenki.



Z garnka unosi się para. Gaszę palnik i przelewam ramen do miski. Przecieram zeschnięte wargi, wpatrzona w żółtą ciecz. Burczy mi w brzuchu. Cały dzień nic nie jadłam ani nie piłam. Nie jestem pewna, czy faktycznie zamierzałam zjeść cokolwiek, kiedy weszłam wreszcie do kuchni, aby ugotować tę zupę. Po prostu od zawsze lubiłam proces gotowania. Postępować według instrukcji zawartych w przepisie... wiedzieć, co robić. To jak medytacja.

Obejmuję miskę dłońmi, sycąc się ciepłem przepływającym przez ceramikę do moich rąk. Przechodzą mnie dreszcze. Przełykam ślinę i w tej samej chwili zdaję sobie z czegoś sprawę: to przecież ponad moje siły.

Oni nie żyją, a ja jeszcze nawet nie płakałam. I bardziej martwię się tym, co będzie jutro.

Nie wiem, co robić. Na samą myśl o wymuszonych pogadankach z dyrektorami wytwórni filmowych czy dawnymi przyjaciółmi moich rodziców, jakie będę musiała odbyć w najbliższych tygodniach przy okazji pogrzebu, i o załatwianiu tych wszystkich spraw, robi mi się niedobrze. Nie dam rady.

Nie dam rady.

Wiedzieli, że brak mi umiejętności, aby poradzić sobie z taką sytuacją. Nie potrafię udawać uśmiechu czy czegoś, czego nie czuję.

Wyciągam pałeczki z szuflady, wkładam je do miski i zabieram ją na górę. Nie zatrzymuję się przy ich sypialni. Odwracam się i idę do siebie.

Staję przy biurku. Zapach zupy coraz bardziej wzmaga mój głód. Stawiam miskę na podłodze i siadam plecami do ściany. Chłód twardego drewna koi moje nerwy, przez co mam ochotę położyć się twarzą na posadzce.

Czy to dziwne, że chciałam zostać w domu, w którym dziś zmarli moi rodzice? Koroner ustalił czas zgonu na drugą w nocy. Ja obudziłam się o szóstej.

Mam mętlik w głowie. Z jednej strony chciałabym choć na chwilę o wszystkim zapomnieć, a z drugiej cały czas odtwarzam w myślach to wydarzenie. Mirai jest tu codziennie. Gdybym ich nie znalazła, ona by to zrobiła. Dlaczego nie poczekała chociażby tygodnia, aż wyjechałabym do szkoły? Czy w ogóle pamiętali, że jestem w domu?

Kładąc ręce na ugiętych kolanach, opieram głowę o ścianę i zamykam piekące oczy.

Nie zostawili dla mnie żadnej wiadomości.

Ubrali się. Wypuścili psa na zewnątrz. Poprosili Mirai, żeby przyszała trochę później niż zwykle.

Nie zostawili mi żadnej wiadomości.

Otwieram oczy i patrzę na korytarz przez otwarte drzwi. Na jego drugim końcu widzę ich pokój.

Dom wciąż brzmi jak przedtem. Nic się nie zmieniło.

Nagle słyszę jakieś brzęczenie. Mrugam kilka razy, a stłumiony dźwięk i przyływ lęku wyrrywają mnie z zamyślenia. Co to?

*Wydawało mi się, że wyłączyłam telefon.* Dziennikarze wiedzą przecież, że prośby o komentarz mają kierować do pełnomocników moich rodziców. Widocznie te kanale mają to gdzieś i w jakiś sposób zdobyli mój numer.

Sięgam po komórkę leżącą na biurku. Gdy naciskam przycisk zasilania, zauważam, że jest wyłączona. Brzęczenie nie ustaje i wtedy orientuję się, że to mój prywatny telefon. Ten, który trzymam w szufladzie.

Serce mi drży. To numer jedynie dla Mirai i rodziców. Mieli korzystać z niego tylko w nagłych wypadkach, bo swoją główną komórkę trzymam prawie cały czas wyłączoną. Nigdy jednak do mnie nie zadzwonili, więc wsadziłam zapasowe urządzenie do szuflady.

Wsparta na kolanach sięgam do jej środka i wydaję starego iPhone'a. Odłączam go od ładowarki, po czym siadam z powrotem na podłodze wpatrzona w ekran.

Kolorado. Nie znam nikogo w Kolorado.

Nikt nigdy nie dzwoni na ten numer. Czyżby dziennikarze jakoś go namierzyli? Ale jak, skoro nawet nie jest na mnie zarejestrowany?

Odbieram.

– Halo?

– Tiernan?

Niski, męski głos. Wyczuwam w nim jednak nutkę zaskoczenia, jakby nie spodziewał się, że to ja odbiorę. Albo jest podenerwowany.

– Mówi Jake Van der Berg.

Jake Van der Berg...

– Twój wujek Jake Van der Berg.

Wtedy sobie przypominam.

– Ojca...?

– Brat – kończy za mnie. – Właściwie przybrany, tak.

Zupełnie zapomniałam. W tym domu prawie nie wspominało się o Jake’u Van der Bergu. Dorastałam bez jakiegokolwiek kontaktu z innymi krewnymi, dlatego całkowicie wymazałam z pamięci fakt jego istnienia.

Moja matka wychowała się w rodzinie zastępczej. Nie wiedziała, kim byli jej biologiczni rodzice i nie miała rodzeństwa. Ojciec z kolei miał tylko jednego młodszego brata, który i tak mieszkał w innym domu. Nigdy go nie poznałam. Nie miałam żadnych ciotek, wujków czy kuzynów, a rodzice mojego ojca nie żyli, przez co nie miałam też dziadków.

Jest tylko jeden powód, dla którego dzwoni do mnie po siedemnastu latach.

– Yyy... – jąkam się, szukając słów. – Pogrzebem zajmuje się asystentka mojej matki. Jeśli potrzebujesz jakichś szczegółów, to nic nie wiem. Dam ci jej numer.

– Nie przyjeżdżam na pogrzeb.

Zamieram na chwilę. Jego głos zdradza napięcie.

Dziwne, nie złożył kondolencji z powodu „mojej straty”. Nie żebym ich potrzebowała, ale po co w takim razie w ogóle dzwoni? Myśli, że ojciec uwzględnił go w testamencie?

Szczerze mówiąc, to możliwe. Nie mam pojęcia.

Lecz gdy chcę zapytać, czego chce, w tym samym czasie odchrząkuje i rzuca:

– Zadzwoił do mnie prawnik twojego ojca. Ponieważ jestem twoim jedynym żyjącym krewnym, a ty nie masz jeszcze osiemnastu lat, najwyraźniej twoi rodzice zostawili cię pod moją opieką.

Pod jego opieką?

*Najwyraźniej.* Brzmi, jakby też się dopiero o tym dowiedział.

– Za kilka miesięcy będziesz pełnoletnia. Nie bój się, nie zamierzam cię do niczego zmuszać.

Aha... Waham się przez chwilę, niepewna, czy czuję ulgę, czy nie. Rzeczywiście dopiero teraz dociera do mnie, że w świetle prawa jestem jeszcze dzieckiem. Nawet nie zdążyłam się jeszcze oswoić z myślą, co to dla mnie oznacza w związku ze śmiercią rodziców. A on zapewnia mnie właśnie, że to nie ma znaczenia i życie się nie zmieni.

*No dobra.*

– Podejrzewam, że skoro dorastałaś w środowisku, w jakim dorastałaś, to i tak masz o wiele większe obycie w świecie niż my i doskonale umiesz o siebie zadbać.

– My? – mamrocę.

– Ja i moi synowie – odpowiada. – Noah i Kaleb. Są niewiele starsi od ciebie. Może o parę lat.

Czyli mam kuzynów, czy raczej... przybranych kuzynów.

A zresztą jakie to ma znaczenie. Bawię się błękitną nicią wystającą z moich piżamowych szortów.

– Tylko to chciałem ci przekazać. Jeśli zamierzasz starać się o usamodzielnienie, nie będę się sprzeciwiał. Nie mam żadnego interesu w utrudnianiu ci czegokolwiek i wyrywaniu z dotychczasowego życia.

Patrzę na nitkę. Ściskam ją i ciągnę paznokciami. *No dobra.*

– No to... dzięki, że zadzwoniłeś.

Odsuwam telefon od ucha, ale znów się odzywa:

– *Chcesz tu przyjechać?*

Przysuwam go z powrotem.

– Nie chciałem, żeby to zabrzmiało, jakbyś nie była tu mile widziana, bo jesteś. Pomyślałem tylko... – Urywa w pół zdania, a ja słucham dalej. Śmieje się cicho. – Chodzi o to, że żyjemy tu na dość głębokim odludziu, Tiernan – wyjaśnia. – Nie ma tu nic ciekawego dla młodej dziewczyny, a szczególnie takiej, która nawet mnie nie zna, wiesz? – Ton jego głosu staje się poważniejszy. – Po prostu nigdy tak naprawdę nie dogadywaliśmy się z twoim ojcem.

Siedzę w milczeniu. Wypadałoby jakoś mu odpowiedzieć. A może oczekuje, że o coś go zapytam? Na przykład o to, skąd ta niezgoda z moim tatą albo czy znał moją matkę.

Ale nie chcę nic mówić. Nie obchodzi mnie to.

– Powiedział ci, że mieszkamy w Kolorado? – pyta łagodnie.  
– Niedaleko Telluride, tylko w górach.

Biorę głęboki oddech i owijam nitkę wokół palca.

– Przy ładnej pogodzie droga do miasta jest w porządku, za to zimą jesteśmy zasypani śniegiem przez kilka miesięcy – ciągnie.  
– Tu jest zupełnie inaczej niż w twoich stronach.

Podnoszę wzrok i rozglądam się powoli po pokoju. I tak rzadko kiedy tu spałam. Na półkach stoją książki, których nigdy nie skończyłam czytać. Biurko zavalone jest pamiętnikami – lubiłam je kupować, choć rzadko w nich pisałam. Często myślałam o tym, żeby podczas którychś ferii jakoś to wszystko udekorować. Ostatecznie skończyło się jak zawsze: nigdy nie kupiłam żadnej tapety, bo nie mogłam się zdecydować. Brak mi wyobraźni.

*Tak, moje życie...*

Widok drzwi do sypialni rodziców mnie przytłacza.

„Zasypani śniegiem”, powiedział. „Przez kilka miesięcy”.

– Żadnej kablówki, żadnych hałasów. Czasami nie ma też WiFi – dodaje. – Tylko odgłosy wiatru, wodospadów i burzy.

Czuję lekki ból w sercu. Nie wiem, czy to przez jego słowa, czy głos. *Tylko odgłosy wiatru, wodospadów i burzy.*

Właściwie to brzmi świetnie, interesująco. Takie bycie z dala od wszystkich.

– Moi synowie są przyzwyczajeni do odosobnienia – mówi.  
– A ty...

Znowu łapię nitkę i owijam wokół palca. *A ja...?*

– Byłem niewiele starszy od ciebie, kiedy się tu sprowadziłem – kontynuuje zamyślony. Słyszę też, że się uśmiecha. – Nic nie umiałem, a głowę miałem pełną debilnych pomysłów, za które nie wiedziałem, jak się zabrać. Raczej wegetowałem, zamiast żyć.

Znów to klucie w gardle. Zamykam oczy.

– Mimo wszystko pot i słońce mają swoje zalety – stwierdza z westchnieniem. – Ciężka praca, odosobnienie, cały czas jest coś do zrobienia. Sami zbudowaliśmy wszystko, co tu mamy. To dobre życie.

Może tego właśnie potrzebuję. Uciec, tak jak on w moim wieku, zanurzyć się w zupełnie inne środowisko, bo jedyne, co jeszcze czuję, to zmęczenie.

– Jesteś zadowolona ze swojego życia? – pyta niemal szeptem.

Nadal zaciskam powieki. Mam wrażenie, jakby ciężarówka zgniatała mi pierś. Jak dotąd moje życie było świetne. Mam szafę pełną designerskich ciuchów i torebek, które zdaniem wszystkich powinna mieć córka znanej gwiazdy. Zwiedziłam ponad dwadzieścia krajów. Mogę kupić, co tylko chcę. Mieszkam w wielkim domu z wypchaną po brzegi lodówką. Ilu ludzi chętnie by się ze mną zamieniło? Czyż nie jestem szczęściarą?

– *Chcesz tu przyjechać, Tiernan?* – pyta ponownie.